W czasie I wojny światowej w Stawiskach

(fragment z „Księgi pamięci gminy żydowskiej w Stawiskach”
wg tłumaczenia M. Reczki)

Na kilka tygodni przed wybuchem I wojny światowej rozpoczęłam naukę w pierwszej klasie w rosyjskiej szkole publicznej, ponieważ Biała Ruś, podobnie jak inne obszary Polski, była w tamtym czasie pod panowaniem carskiej Rosji. Szkoła mieściła się w dużym pokoju na piętrze jednego z domów Chmielewskiego przy drodze do Szczuczyna. W tym pomieszczeniu były trzy klasy, jedna dla początkujących, druga dla bardziej zaawansowanych i kolejna dla starszych uczniów, a wszystkie trzy uczył jeden nauczyciel. Nie mieliśmy możliwości nauczyć się zbyt wiele. Pewnego dnia usłyszeliśmy dźwięk dzwonka na zewnątrz. Jak to było w zwyczaju w tamtych czasach, w razie potrzeby urzędnik miejski krążył, dzwoniąc dzwonkiem, żeby zaalarmować mieszkańców i poinformować ich o różnych ogłoszeniach władzy cywilnej. Tym razem musiało być coś niezwykłego w alarmie dzwonka, ponieważ zobaczyliśmy nauczyciela opuszczającego pokój w pośpiechu, skaczącego przez schody i znikającego. Nigdy więcej go nie zobaczyliśmy. To był dzień, kiedy wybuchła I wojna światowa i w niedługim czasie potem Niemcy zajęli Polskę, tzn. tę część, która należała do carskiej Rosji.

Podczas wojny kilka pocisków armatnich trafiło w nasze miasteczko. Jedna kula zniszczyła bok bet midrasz i część ściany wschodniej. Niemcy naprawili to, a nawet udekorowali witrażami szyby, które były częścią drzwi Wielkiej Synagogi. Inna kula armatnia trafiła kobietę, która niosła jedzenie swemu synowi uczącemu się w chederze i zabiła ją na miejscu. Kolejny pocisk padł blisko kuźni kowala, która znajdowała się na krawędzi miasteczka, w kierunku Jedwabnego. W tamtym czasie szłam z placu rynkowego do domu z wiadrem wypełnionym do połowy wodą (nie byłam zdolna unieść więcej). Nagle usłyszałam przerażający gwizd. Domyśliłam się, że była to kula armatnia i w tym momencie wyobraziłam sobie, że ona spadnie na moją głowę. Ze strachu zostawiłam wiadro na ulicy i pobiegłam do domu z całych sił, jako że chciałam „strząsnąć” kulę z mojej głowy. Po krótkim czasie, my, dzieci i starsza młodzież, pobiegliśmy do kuźni. Tylko dzięki cudowi dom został ocalony od zniszczenia, a jego mieszkańcy od śmierci. Na ich szczęście, kula padła na luźny grunt blisko domu kowala i nie wybuchła.

Na początku okupacji wojskowy garnizon niemiecki, który stacjonował w miasteczku, rozpoczął grabież wszystkiego, co trafiło żołnierzom w ręce – ubrań ze sklepów, jęczmienia, pszenicy, mąki, cukru i innych prowiantów – aby wywieźć je do Niemiec. W zamian za to, co zostało zagrabione, Niemcy dawali „pokwitowania". Najwidoczniej wszystkie pokwitowania miały ten sam tekst: „Dawanie na kredyt powoduje zmartwienia". Pozostawili niewielką ilość mąki do pieczenia czarnego chleba, który był każdego dnia dystrybuowany głodnej ludności w niewielkich ilościach. Biały cukier nie był dostępny, ale czasami dostawaliśmy porcje żółtego cukru, który nazywano „końskim". Herbatę robiono z landrynek, a suchych łodyg wiśni używano do produkcji soku.

W tych niespokojnych czasach mój brat Itzchak chodził nocami do wiosek, aby kupić pszenicę od rolników. Najczęściej wyruszał z moim wujem Chaimem. Aby przywieźć ziarno do młyna na Sokolisze, a potem mąkę do domu, trzeba było sporo ryzykować i uważać, żeby to jedzenie nie wpadło w ręce Niemców. Raz mój brat poprosił mnie o pomoc w przywiezieniu mąki z młyna. Byłam wówczas młodą dziewczynką. Ubrał mnie w długą, szeroką sukienkę, zawiązał na mojej głowie chustkę, tak abym przypominała gojkę i zabrał mnie ze sobą na wozie do młyna. Jak już załadowano worki z mąką, mój brat posadził mnie na ich wierzchu tak, że moja długa, szeroka sukienka przykrywała je. W ten sposób mogliśmy pokonać całą odległość i baz problemu przywieźć mąkę do domu.

Nie zawsze mieliśmy tyle szczęścia. Jak większość mieszkańców miasteczka, hodowaliśmy kury dla własnego użytku. Spośród wszystkich kur lubiłam szczególnie jedną, która miała bardzo ładne pióra. Była bardzo dorodna i opiekuńcza, kiedy szła ze swoimi kurczętami. Pewnego ranka znalazłam ją martwą na podwórku. Kiedy zaczęłam płakać, moja matka zdenerwowała się i powiedziała: „Czy jest o co płakać? Jeśli Niemcy zabiorą mąkę, niech niebo uchowa, na pewno nie będziesz płakać". Tego popołudnia mój brat wrócił z młyna z wozem załadowanym workami z mąką i zatrzymał się koło domu – nagle pojawili się niemieccy żołnierze i zabrali wszystko. Nie zostawili nawet „pokwitowania".

Moja matka miała rację – nie płakałam z powodu tej kradzieży. Miałam tylko dosyć łez, żeby płakać po pięknej kurze, która zginęła.

Ważne, aby zwrócić uwagę, że Niemcy w czasie I wojny światowej nie byli tacy sami, jak Niemcy w czasach nazistowskich. Kiedy poznali mieszkańców, odnosili się do nich w sympatyczny sposób i dokonali wielu zmian, ulepszających życie ludności. Wyrównali otwarte doły, wykopali nowe studnie i zaopatrzyli je w wiadra do wyciągania wody po to, aby mieszkańcy mogli używać dobrej, czystej wody. Koło bet midrasz i blisko młyna na Sokolisze odkryli źródła, które umożliwiły obfite zaopatrzenie w czystą wodę.

Niemcy zapewnili również, że miasteczko utrzymane było w czystości. Zorganizowali sprzątanie brudnych miejsc. Zwerbowali młodzież do „brudnych robót". W tym celu wchodzili do domów i szukali młodych ludzi, którzy byli zdolni do wykonywania różnych prac – zimą do uprzątania śniegu ze ścieżek, a wiosną do czyszczenia ulic z błota, które pozostawało po rozpuszczeniu śniegu. Ustawili duże schronienia na otwartych przestrzeniach dla dobra mieszkańców i umieścili tam ławki. Postawili je też wokół starego kasztana, który rósł blisko poczty, żeby przechodnie i ci, którzy przychodzili na pocztę, mogli odpocząć. Wieczorami żołnierze siadywali na schodach stojącego w centrum miasta domu, który służył jako kwatera główna garnizonu i grali radosne melodie marszowe na akordeonach z towarzyszeniem instrumentów perkusyjnych. Kochali dzieci i dawali im słodycze.

Mimo to pamiętam incydent, który wywarł na mnie wstrząsające wrażenie. Pewnego dnia, tłum wiejskich chłopów wszedł na plac targowy. Powiedziano, że sprowadzono ich, ponieważ nie przekazali wymaganej ilości zboża Niemcom. Nikt nie wiedział, co się z nimi stanie. Chłopi stali na placu w czworoboku. Niemcy zarządzili, aby część z nich umieściła worki z piaskiem w kilku miejscach. Nagle przyprowadzono innych wieśniaków i Niemcy rozkazali im położyć się na workach z piaskiem, a zbiry biły ich po plecach, aż popłynęła krew. Widok, który oglądaliśmy przez okna, był straszny. Ten incydent miał miejsce w obecności wszystkich wieśniaków, żeby widzieli i się bali. Krzyki tych, którzy byli bici, były rozdzierające, jednak nie poruszało to serc tych „dobrych" Niemców.

Pod koniec wojny Polska borykała się z wielkimi brakami jedzenia i ubrań. Zbawienie przyszło ze Stanów Zjednoczonych, które przysłały duże transporty żywności do głodnych ziem Europy. Polska również, każde miasto oraz miasteczko otrzymało odpowiednią porcję. Tkaniny ubraniowe były wówczas bardzo drogie i jako materiałów używaliśmy amerykańskich worków na pszenicę. Zrobione one były z grubego, dobrego materiału, który nadawał się do szycia ubrań. Matka barwiła materiał na kolor jasnoszary. Po pewnym czasie nasz brat Nechemia, który był w Stanach Zjednoczonych, przysłał nam duże ilości niepsującej się żywności oraz cudowne paczki z ubraniami. Z powodu wyjątkowo dużych rozmiarów przesyłki mój brat Itzchak musiał jechać do Częstochowy, aby zabrać ją do domu. Przesyłka zawierała ubrania dla mężczyzn i kobiet, buty, materiały do szycia, mydło i wiele innych potrzebnych rzeczy – wszystko nowe, prosto z fabryki. Przyjaciele i krewni przychodzili, żeby zobaczyć szyk eleganckich rzeczy, a ich usta były pełne pochwał dla oddanego syna, który mieszkał za oceanem.

INWAZJA BOLSZEWICKA

Droga prowadząca przez miasto nazywana była Drogą Królewską albo Drogą Warszawa-Petersburg. Bolszewicy szli tą drogą w 1920 r., kiedy Armia Czerwona wtargnęła do Polski. Żołnierze obozowali na placu targowym przez jakiś czas ze wszystkimi sprzętami i bronią. Wyglądali beznadziejnie w swoich lichych ubraniach i zdartych butach. Nie sprawiali wrażenia porządnej armii, ale raczej hołoty, która przez przypadek dostała broń do rąk. Podczas swego pobytu zachowywali się życzliwie wobec ludności, a również goje korzystali z ich jedzenia.

Majątek Kisielnickiego znajdował się po jednej stronie drogi prowadzącej do Szczuczyna. Mieszkał on tam ze swoją rodziną we wspaniałym pałacu. Mówi się, że jego córka wyszła za bogatego szejka naftowego z Zatoki Perskiej. Po jakimś czasie dokonała z nim separacji i wróciła, żeby zamieszkać z dzieckiem w domu ojca. Bardzo starannie pilnowano wnuka Kisielnickiego. Pogłoski mówiły, że wysłańcy szejka tropili ją, aby porwać dziecko i zwrócić je jego ojcu. Córka dziedzica bywała czasami widywana, jak jechała główną drogą we wspaniałym samochodzie. Prywatne auto, szczególnie prowadzone przez kobietę, było wtedy w Stawiskach jednym z cudów świata.

Blisko wejścia do dworu, po drugiej stronie drogi, stał rząd niskich dwurodzinnych domów, gdzie mieszkali pracownicy majątku. Niektórzy z nich zajmowali się sadami owocowymi, inna grupa troszczyła się o pola, które były blisko dworu i gdzie uprawiano wszelkie rodzaje warzyw. Bogaci Żydzi z miasteczka kupowali od nich najlepsze owoce i płacili za nie bardzo drogo. Pozostali robotnicy pracowali na polach. Podczas żniw, wcześnie rano, wozy wypełnione grupami robotników, mężczyzn i kobiet, przejeżdżały przez miasteczko. Udawali się na pola pszenicy, które były za miastem, w odległości kilku kilometrów. Wracali do domów już w ciemnościach, po ciężkim dniu trudnej pracy.

Domy robotników były małe, ubogie i pokryte sadzą. Ekonom majątku miał twarde serce i nie wykazywał żadnej troski o minimalne potrzeby swoich robotników. Warunki pracy w majątku były trudne, a płaca słaba. O strajkach w tamtych czasach nikt nie myślał, a wyzysk był straszny. Nic dziwnego, że nienawiść do bogatego dziedzica, który żył w zbytku i komforcie, przepełniała ich serca.

Kiedy przyszła wiadomość, że Armia Czerwona wtargnęła do Polski, rodzina Kisielnickiego uciekła do Warszawy. Pozostał tylko ekonom majątku, który robił wszystko, aby ocalić, co tylko można było, m.in. duże stado krów, które grupa robotników przegnała do Warszawy. Po

tym jak bolszewicy wkroczyli do Stawisk i ustanowili władzę lokalną, robotnicy majątku byli pierwszymi, którzy powstali przeciw swemu panu, a wielu gojów z miasteczka przyłączyło się do nich.

Pewnego szabasu poszliśmy do majątku. Weszliśmy na dziedziniec i do wnętrza pałacu. Był to pierwszy raz, kiedy Żyd postawił tam swoją stopę. Dziedziniec był dość duży, a wokół rosły różnorodne drzewa owocowe. W otoczeniu pałacu posadzono drzewa ozdobne i urządzono ogrody kwiatowe. Weszliśmy do głównego pałacu, wspięliśmy się na piętro – wszędzie, gdziekolwiek zajrzeliśmy, była ruina i zniszczenie. Goje rabowali wszystko, co potrafili – niszczyli bez litości. Po raz pierwszy widzieliśmy wannę w domu, bo oprócz łaźni publicznej, nie było w mieście wanien nawet w domach zamożnych ludzi. Wanna również była zniszczona. Część książek z dużej biblioteki dziedzica walała się po schodach i ścieżkach dziedzińca jak spadłe liście. Nasi sąsiedzi, goje, również korzystali z okazji do rabunku i zabrali do swoich domów tapicerowane krzesła, zasłony, wyśmienite jedzenie, pościel, kosztowne lustra itp. Zemsta była zupełna.

Przywódcą miejscowych komunistów był młody mężczyzna Herzke Koliński, syn starego czcigodnego Abrahama Bera. Był dobrym młodym człowiekiem, samoukiem. Rosyjski znał płynnie. Władze polskie wiedziały, że był żarliwym komunistą i prześladowały go. Ukrywał się przed nimi w lamusach i na strychach.

Kiedy władza przeszła do bolszewików, Hertzke stanął na czele „Rewkomu", rady miasta. Miał silną wolę i był pełen energii. Do starszych przemawiał w sposób autorytarny. Kiedy przejął władzę, surowo traktował każdego, kto wydawał mu się być kontrrewolucjonistą albo kto nie przestrzegał jego dekretów. Nie faworyzował nikogo, czy to była osoba czcigodna, czy członek rodziny.

Reb Jechiel Mondensztejn był jednym z pierwszych piekarzy, który został wtrącony do więzienia, ponieważ nie chciał zaakceptować czerwońców (bolszewicka waluta w tym czasie) jako zapłaty za chleb. Żydzi nie wierzyli w ten pieniądz i traktowali go jako małowartościowy. Po kilku dniach wtrącił do więzienia również mojego ojca za to samo przestępstwo. Kiedy poszłam odwiedzić tatę, usłyszałam, jak sekretarka Hertzke mówiła do jednego z więźniów, który długo na nią patrzył, że Hertzke „niemal posłał kulę w głowę piekarza Jechiela". Mówi się, że kiedy matka Hertzke, która była znana jako odważna i bystra kobieta, przyszła do Hertzke, żeby ulitował się nad życiem reb Jechiela, on jej powiedział: „Wyjdź stąd natychmiast, w przeciwnym wypadku wsadzę ci kulę w głowę." Jego matka wiedziała, że jej syn był zdolny wypełnić swoją groźbę – i wyszła tak szybko, jak weszła.

Po klęsce, której bolszewicy doznali pod Warszawą, słynnym zwycięstwie zwanym „cudem nad Wisłą", uciekali przez nasze miasteczko. Szli drogą w trzech rzędach przez trzy kolejne dni i noce. Wtedy pierwszy raz widzieliśmy wielbłąda. Było to zakończenie szabasu, ostatnia noc ich ucieczki. Większość miejscowych komunistów przyłączyła się do wycofujących się. Jeden z nich, goj, przyszedł do nas i próbował siłą zabrać kurtkę mego brata Itzchaka. Mój brat mocował się z nim, a pomagały mu moja matka i siostra. Nagle goj szybko opuścił dom, kiedy jego żydowski przyjaciel, który stał za drzwiami, ostrzegł go, że ktoś się zbliżał.

To nie był koniec nieprawości. W naszym sąsiedztwie mieszkała polska rodzina. Ze swoimi „dobrymi, antysemickimi sercami" podburzyli żołnierza Armii Czerwonej, aby wszedł do naszego domu, zszedł do piwnicy i wziął stamtąd, cokolwiek będzie chciał. Powiedzieli mu, że znajdzie tam mnóstwo dóbr. Deklaracje matki, że niewiele mieliśmy, nic nie przyniosły. Żołnierz wszedł do piwnicy. Rosyjski kapitan zajrzał do naszego domu, kiedy usłyszał głośną kłótnię. Kiedy matka wyjaśniła mu, co się stało, kapitan poszedł do żołnierza, który w międzyczasie wyszedł z piwnicy z pustymi rękoma i zbeształ go: „Jesteś komunistą, nie wstyd ci? Jaki masz tu interes?" Żołnierz uciekł w pośpiechu. Matka podziękowała kapitanowi. On ją pocieszył, powiedział jej, żeby zamknęła drzwi, zaciągnęła żaluzje i nie otwierała nikomu.